

Kampania Sojuszu pokazała, że same nowoczesne narzędzia komunikacji nie wystarczą, trzeba mieć jeszcze coś do powiedzenia.

Kłeska SLD ma źródło w chęci zbudowania niekoniecznie bardzo dużej i niekoniecznie bardzo ideowej, za to koniecznie współrządzącej partii – obojętnie, czy z PiS, czy z PO. Plan młodych działaczy skupionych wokół Grzegorza Napieralskiego wydawał się prosty i klarowny. Polska scena polityczna jest zabetonowana, konkurenci na lewicy wykoszeni równo z trawą. Do Sejmu wejdą znowu cztery partie, jednak wynik zmęczonej rządzeniem PO będzie gorszy, PiS – lepszy, PSL zaś – porównywalny ze skromnym dorobkiem sprzed czterech lat. Wyborcy lewicy, którzy w 2007 r. poparli PO, wrócą do SLD. Partia zdobędzie co najmniej 15%, wprowadzi na Wiejską tak liczną reprezentację posłów, że bez nich ani PO, ani PiS nie stworzą większościowego rządu. Dla zwolenników tego planu nie miało większego znaczenia, kto się okaże koalicjantem: Donald Tusk czy Jarosław Kaczyński. Ważniejsze były

posady rządowe,

które zajmą. Grzegorz Napieralski widział siebie w fotelu wicepremiera odpowiedzialnego za nowe technologie. One nie mają wyraźnego zabarwienia politycznego, mógłby więc piastować podobne stanowisko zarówno w rządzie Tuska, jak i Kaczyńskiego.

Andrzej Rozenek, wiceszef tygodnika „NIE”, a teraz także poseł Ruchu Palikota, we wrześniu przytoczył na blogu fragment rozmowy ze znajomym, który często bywa w siedzibie SLD przy Rozbrat: „Andrzej, oni tam rozdają stołki – jęknął przerażony. – Ty będziesz ministrem infrastruktury, ty ochrony środowiska... Oni idą po władzę, po limuzyny, gabinety i profity!”. Wierzę w prawdziwość tych słów, podobne bowiem relacje z rozmów na Rozbrat przekazywało mi w ostatnim czasie wiele osób.

Sympatycy lewicy przed wyborami otwierali szeroko usta ze zdumienia, słysząc jednego dnia Grzegorza Napieralskiego współczującego uczniom z ubogich rodzin pod rządami Donalda Tuska, wkrótce potem zaś dramatyczny apel lidera Sojuszu do premiera, że w imię ratowania Polski przed PiS proponuje Platformie koalicję. Wyborcy lewicy nie mogli dojść do siebie, obserwując ostre ataki SLD na godzącą w uboższą część społeczeństwa politykę rządu Tuska („Jak żyć, panie premierze? Jak żyć?”, pytali przerażeni bohaterowie spotów wyborczych Sojuszu), a równocześnie czytając o porozumieniu podpisanym przez Grzegorza Napieralskiego z szefem Business Centre Club, neoliberalną organizacją pracodawców.

Przecierali oczy,

bo nie mogli uwierzyć, że szef SLD wziął na spotkanie z ministrem finansów w charakterze eksperta prof. Stanisława Gomułkę, czołowego autora tzw. planu Balcerowicza, głównego ekonomistę BCC! Nie mogli pojąć, dlaczego SLD raz usuwa w cień sprawy rozdziału państwa i Kościoła, a kiedy indziej mocno je akcentuje.

Wyjaśnienie tego mętliku jest prozaiczne – spójny przekaz programowy nie był w kampanii najważniejszy, nie był chyba nawet zaplanowany, bo sprzeczne komunikaty mogły być odbierane przez kierownictwa PO i PiS jako sygnały do gotowości współpracy koalicyjnej. Orientację na partię Jarosława Kaczyńskiego umacniał uchodzący za jednego z głównych doradców szefa SLD dr Rafał Chwedoruk, który w maju w obszernym wywiadzie dla „Super Expressu” przekonywał, że PiS i SLD zyskają, tworząc koalicję, w przeciwieństwie do tego układu koalicja z PO byłaby dla Sojuszu samobójstwem. W połowie sierpnia Chwedoruk w wypowiedzi dla PAP tak oceniał żelazny elektorat SLD: „Napieralski dostał w wyborach prezydenckich ponad 2 mln, można więc sądzić, że ten żelazny elektorat SLD to ok. 2 mln”. Zdaniem politologa w przypadku Sojuszu występuje nowe ciekawe zjawisko –

dziedziczenia postaw,

bo Napieralski „zdołał przyciągnąć do SLD dzieci i wnuków dotychczasowych zwolenników SLD”. Z drugiej strony, dr Chwedoruk uznał, że z „powodów historycznych” elektorat SLD jest ograniczony do 3 mln. Dla przypomnienia: w poprzednią niedzielę SLD otrzymał poparcie niespełna 1,2 mln wyborców, 10 lat wcześniej zaś – ponad 5,3 mln.

W 1995 r. ówczesny przewodniczący poprzedniczki SLD – Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej – Aleksander Kwaśniewski mimo „powodów historycznych” w drugiej turze wyborów otrzymał poparcie 9,7 mln obywateli, a pięć lat później już w pierwszej turze zdobył niemal 9,5 mln głosów.

Dr Chwedoruk uzasadniał potrzebę koalicji, Włodzimierz Czarzasty (który teraz chce zwoływać kongres organizacji lewicowych) zaś już wcielił ją w życie – SLD i PiS podzieliły w 2009 r. publiczną telewizję i radio. Współpraca układała się nadspodziewanie dobrze, wykazując, że kooperacja dwóch, zdawałoby się, całkowicie różnych partii jest możliwa. Nieprzypadkowo Grzegorz Napieralski po pierwszej turze wyborów prezydenckich nie odpowiedział swoim zwolennikom, kogo powinni poprzeć w

decydującym starciu: Bronisława Komorowskiego czy Jarosława Kaczyńskiego. To był wyraźny ukłon w stronę lidera PiS. Nic dziwnego, że Napieralskiemu dzielnie sekundował redaktor Michał Karnowski, jeden z głównych medialnych miłośników IV RP. Broniąc lidera Sojuszu przed krytyką, już po wyborach, Karnowski napisał na portalu wPolityce.pl, że Napieralski padł ofiarą „ataku ze strony potężnego jak nigdy obozu władzy, sprzężonego z medialną maszyną, która użyła wobec lidera SLD arsenału znanego z przemysłu pogardy”.

Docierające na Rozbrat informacje o rosnącym poparciu dla Ruchu Palikota (RP) – także wśród członków SLD – były ignorowane. Dr Chwedoruk przekonywał przecież, że „spory kulturowe nie są teraz tak silne w Polsce, jak były jeszcze na początku transformacji ustrojowej”. Sprawę przejścia do RP dawnego członka SLD Roberta Biedronia i Wandy Nowickiej (dawniej radnej wybranej z listy SLD oraz kandydatki Sojuszu na posłankę i senatora) zbagatelizowano. Obydwoje znaleźli się w Sejmie, a w okręgu Gdynia, w którym Biedroń – jawny gej i szef Kampanii Przeciw Homofobii – startował z jedyńki, Ruch Palikota uzyskał wynik lepszy (9,53%) od wyniku SLD (7,97%), choć jedyneką był tu ekspremier, założyciel SLD (partii, a nie koalicji, która istniała wcześniej) i jej pierwszy przewodniczący, Leszek Miller.

Grzegorz Napieralski, który wcześniej zrezygnował z dwukrotnej szansy telewizyjnej konfrontacji z premierem Tuskiem, nie podjął także wezwania do debaty rzuconego przez Janusza Palikota. Na Rozbrat uznano, że byłoby to... niepotrzebne nagłośnienie RP. W takich okolicznościach 9 października SLD otrzymał od wyborców

wotum nieufności

i – po raz pierwszy – silniejszego konkurenta w Sejmie odwołującego się do lewicy. W 2007 r. koalicja Lewica i Demokraci uzyskała 13,15% głosów (2,1 mln), w poprzednią niedzielę SLD – 8,24%. W 2007 r. LiD wprowadził do Sejmu 53 posłów, obecnie SLD – 27. W 2007 r. w 14 okręgach LiD zdobył po dwa mandaty, obecnie SLD ma dwa mandaty w jednym okręgu – w Legnicy. Po wyborach w 2007 r. LiD nie miał posłów w dwóch okręgach – w Nowym Sączu i w Tarnowie. Teraz SLD nie ma ich w 15 z 41 okręgów, m.in. w tak kluczowych jak Kraków, Wrocław i Gdańsk. Jego reprezentacja parlamentarna jest skromniejsza od Ruchu Palikota, który wprowadził do Sejmu 40 posłów.

Październikowa klęska Sojuszu została zaprogramowana przez Grzegorza Napieralskiego, który po wyborze na przewodniczącego partii na spotkaniach z aktywnym powtarzał jak zaklęcie: „Po następnych wyborach SLD będzie co najmniej współzrządzić”. Ten „mesydz” miał bezwzględny priorytet: rządzić, nieważne z kim ani po co.

Najbardziej zaufali Grzegorzowi Napieralskiemu młodzi działacze, którzy wstępowali do partii na przełomie ostatniej dekady minionego i pierwszej dekady obecnego wieku. Sądzili, że wielka popularność Sojuszu okaże się trwała, zapewniając im szybką ścieżkę kariery. Program partii był dla nich bez znaczenia. Jednak ich nadzieje rozwiła dotkliwa porażka w 2005 r. Z frustracją i wściekłością przyjęli zawiązanie we wrześniu 2006 r. – pod patronatem Aleksandra Kwaśniewskiego – koalicji Lewica i Demokraci. Nie z powodów programowych, którymi często szermowali (krytykowali liberałów z Partii Demokratycznej, równocześnie świetnie się dogadując z liberałami z PO w samorządach, popierając prywatyzację infrastruktury, podwyżki czynszów mieszkań komunalnych, biletów), lecz praktycznych – oddanie części miejsc na listach wyborczych przedstawicielom innych ugrupowań oznaczało

zmniejszenie puli dla swoich.

W wyborach parlamentarnych w 2007 r. koalicja Lewica i Demokraci otrzymała wynik lepszy niż SLD dwa lata wcześniej, jednak LiD wprowadził do Sejmu jedynie 53 posłów (o dwóch mniej niż Sojusz w 2005 r.), zaledwie 37 z nich było z rekomendacji SLD.

Słabszy od zapowiadanego wynik wyborów i w efekcie oświadczenie Aleksandra Kwaśniewskiego, twarzy kampanii wyborczej i szefa Rady Programowej LiD, o „ostatecznym wycofaniu się z polityki”, umacniały w SLD skrzydło partyjnych patriotów, obrońców szyldu, twierdzących już wcześniej, że LiD to forma przejściowa prowadząca do powstania partii, która wypełniłaby lukę po Unii Wolności. Ta nowa partia przejęłaby majątek, pieniądze i struktury Sojuszu, uzyskałaby medialne wsparcie „Gazety Wyborczej”.

Niezadowoleni znaleźli swojego rzecznika – Grzegorza Napieralskiego, któremu Wojciech Olejniczak wyznaczył gabinet z dala od swojego (wcześniej gabinetu przewodniczącego i sekretarza generalnego łączył wspólny sekretariat). „Papiery” Napieralskiemu wyrobił Sławomir Sierakowski, który na łamach „Gazety Wyborczej” nazwał go przywódcą partyjnego betonu.

Napieralski okazał się mistrzem w partyjnych rozgrywkach. Wykorzystywał zajmowaną funkcję do umacniania wpływów w partii. Dość wcześnie zaczął krytykować LiD, dzięki temu po wyborach w 2007 r. stał się dla wielu aktywistów naturalną opozycją wobec Olejniczaka. Olejniczak pozbawiony mocnego oparcia w Aleksandrze Kwaśniewskim

nie wytrzymał ciśnienia działaczy

W marcu 2008 r. podjął decyzję o opuszczeniu LiD przez SLD. Aktyw uznał to za potwierdzenie słabości lidera i dwa miesiące później na kongresie zdecydował o zmianie przewodniczącego. Zachęcał do tego Leszek Miller, który tuż przed kongresem straszył: „Zabiegając o poparcie warszawskiego salonu i niektórych weteranów (tych ze stajni Kwaśniewskiego), przywódca Sojuszu szykuje się do kolejnej wołty. Powrotu do LiD, tyle że pod inną nazwą. Zbliżają się wybory do Parlamentu Europejskiego i tacy rzecznicy salonu jak Marek Borowski, Bronisław Geremek czy Janusz Onyszkiewicz nie mogą zostać na lodzie. (...) Jest tylko jeden problem. Żeby plan się powiódł, Olejniczak musi wygrać wybory na szefa Sojuszu”.

Miller chciał wyrównać własne rachunki krzywd. W 2005 r. Olejniczak, którego zna od dziecka (Miller w czasie działalności w PZPR poznał jego ojca), zabronił mu udziału w ówczesnych wyborach. Dwa lata później twórca SLD opuścił partię i wystartował do Sejmu w barwach Samoobrony w okręgu Łódź. Jako jedynka zebrał 4142 głosów. Jedyneką SLD był Wojciech Olejniczak – dostał 51.865 głosów. Takich porażek się nie zapomina.

Opinia Millera o konieczności zmiany Olejniczaka była ważnym sygnałem dla części starszych działaczy SLD. Grzegorz Napieralski spełnił pokładane w nim nadzieje. Wyeksmitował z Rozbrat Krzysztofa Janika i Lecha Nikolskiego, którzy uosabiali nić łączącą partię z Aleksandrem Kwaśniewskim, wysłał do Parlamentu Europejskiego Wojciecha Olejniczaka. Po uporczywej walce przewodniczący SLD zajął opuszczoną przez niego funkcję szefa klubu poselskiego. Wreszcie wymusił – poprzedzone rozmaitymi plotkami – przejście na emeryturę wieloletniego skarbnika partii Edwarda Kuczery. Jego odejście Rada Krajowa uczciła uchwałą wzorowaną na uchwałach sejmowych poświęconych dawno zmarłym postaciom: „Edward Kuczera dobrze przysłużył się Sojuszowi Lewicy Demokratycznej i całej polskiej lewicy”. Pogrzebionego Kuczera zastąpił Kazimierz Karolczak, który przez dziesięć lat prowadził agencję pracy tymczasowej (tego typu firmy zarabiają na wypożyczaniu taniej siły roboczej).

Droga do sfinalizowania sprzedaży siedziby SLD przy Rozbrat była otwarta. Gdyby pozostał Kuczera, Sojusz nie musiałby pewnie szukać nowego adresu, pewnie też mniej pieniędzy i rozsądniej wydawano by na kampanię wyborczą. Wyprowadzka z Rozbrat po klęsce wyborczej może nabrać wymiaru przygnębiającego symbolu – przygotowania do pogrzebu. Grzegorz Napieralski uzyskał niemal pełną kontrolę nad partią, klubem parlamentarnym i finansami. Pod jego wodzą SLD poszedł

drogą wskazywaną przez Millera.

Zadekretowano to 21 lutego 2009 r. Na ten dzień zwołano posiedzenie Rady Krajowej, która – jak pierwotnie planowano – miała przyjąć uchwałę wzywającą do utworzenia wspólnej listy w zbliżających się wyborach do Parlamentu Europejskiego. Dokument nie przesądzałby jej nazwy. Stało się inaczej.

Grzegorz Napieralski wyłożył strategię, którą nazwał „SLD 2010+”. Zgodnie z nią czas równoprawnych koalicji minął, zastąpić je miał powracający szyld wyborczy SLD, pod którym gromadziliby się wszyscy chętni, uznający wiodącą rolę Sojuszu na lewicy. Odtąd to wyłącznie SLD miał rozdawać karty po lewej stronie. „Nie ma zgody w SLD na budowanie porozumienia LiD-bis”, oświadczył przewodniczący i z wielką pewnością siebie dodał: „Zapraszamy Włodzimierza Cimoszewicza, Dariusza Rosatego i inne lewicowe postacie polskiej sceny politycznej do tego, aby wspólnie z nami startowali do europarlamentu”. PAP, relacjonując przebieg posiedzenia Rady Krajowej, dzieliła się przeciekami: „Politycy Sojuszu mówią, że Napieralski obiecał partyjnej młodzieży, że w wyborach do PE będzie komitet SLD, a nie inny, i jest pod ich presją”.

W wyborach do europarlamentu SLD zdobył pod swoim szyldem 12,34% głosów, co przełożyło się na siedem spośród 50 mandatów. Koalicja „Porozumienie dla Przyszłości” utworzona przez SdPI i PD, której przewodniczył Dariusz Rosati, uzyskała niespełna 2,5% głosów. Aktyw SLD triumfował, bo potwierdziły się jego przewidywania – po odłączeniu od kropłówki dotacji Sojusz z budżetu obie „LiD-owskie” partie zakończą żywot. Wybory prezydenckie i samorządowe w 2010 r. wykazały dominację SLD na lewicy, choć te ostatnie powinny stać się poważnym sygnałem ostrzegawczym – Sojusz w wyborach do sejmików wojewódzkich co prawda przekroczył 15%, jednak przegrał nie tylko z PO i PiS, lecz także z PSL, słabo wypadł w wielkich miastach, m.in. we Wrocławiu, w Krakowie i w Warszawie. Po wyborach samorządowych strategia „SLD 2010+” – oczyszczenia przedpola na lewicy, rezygnacji z zawierania koalicji na rzecz kooptacji chętnych na wskazanych przez Sojusz warunkach – wydawała się kierownictwu Sojuszu zrealizowana. Przystąpiono do czyszczenia własnych szeregów

i układania list wyborczych.

Po wyekspediowaniu do Brukseli Olejniczaka za najgroźniejszych (bo myślących, mających własne ambicje i poglądy) przeciwników uznano Bartosza Arłukowicza i Ryszarda Kalisza. Ten pierwszy nie zgodził się na odesłanie do Szczecina – Napieralski zaproponował mu udział w wyborach na prezydenta tego miasta. Zanim jednak otoczenie szefa SLD znalazło sposób na neutralizację popularnego polityka, wyrastającego niebezpiecznie ponad średnią partyjną (choć formalnie Arłukowicz nie był członkiem Sojuszu, tak jak nie był formalnie osobistym lekarzem Napieralskiego i jego rodziny, którą faktycznie leczył), sam zainteresowany zrobił krok do przodu. Przeszedł do obozu Platformy Obywatelskiej.

Tego skupieni wokół Napieralskiego działacze nie oczekiwali. Przestraszyli się, że podobnie może postąpić inny popularny i lubiany polityk lewicy, Ryszard Kalisz. Wówczas wizerunek SLD mógłby znacznie ucierpieć przed wyborami, bo partia pozbyłaby się dwóch najlepiej prezentujących się w mediach przedstawicieli.

Przywództwo Napieralskiego osłabło, na czym skorzystali szefowie wojewódzcy SLD, zyskując większą swobodę przy układaniu list. Nie wszystkim jednak gwarantowały one wejście do Sejmu. Władysław Mańkut, szef olsztyńskiego SLD, w okręgu Elbląg nie dał SLD żadnego mandatu. Może byłoby inaczej, gdyby umożliwił udział w wyborach jednemu z najwyższej cenionych za fachowość posłów – Witoldowi Gintowtowi-Dziewałtowskiemu. Sytuację wykorzystała Platforma, proponując mu start do Senatu. Witold Gintowt-Dziewałtowski uzyskał mandat na Wiejskiej. Mandat poselski w Elblągu przypadł m.in. Wojciechowi Penkalskiemu z Ruchu Palikota, któremu nie zaszkodziła podana przed wyborami informacja, że miał trzy wyroki i za pobicie spędził dwa lata w więzieniu.

Atmosfera podchodów, intryg i walki nie wytrzymał inny ceniony za fachowość poseł SLD, Waław Martyniuk, którego Napieralski pozbawił funkcji rzecznika dyscypliny klubu poselskiego. Sam zrezygnował z ubiegania się o mandat posła. Niemal natychmiast ogłoszono, że jedynką w okręgu Gliwice, z którego Martyniuk wielokrotnie uzyskiwał mandat, otrzyma nieodłączny cień przewodniczącego partii, Tomasz Kalita. Ostatecznie rzecznik Sojuszu był jedynką w okręgu Kraków II – SLD nie zdobył w nim żadnego mandatu, Kalita uzyskał 8365 głosów, startująca zaś z Ruchu Palikota transseksualistka Anna Grodzka, wcześniej związana z Sojuszem, 19.451.

SLD stracił także jedyny mandat w Gliwicach. Nie zdobył ani jednego mandatu w całym województwie małopolskim (cztery okręgi wyborcze). Zwyciężyła logika: lepiej nie wziąć żadnego mandatu, niż poprzeć w jego uzyskaniu wyrastającą ponad przeciętność osobowość – taką jest w Krakowie Jan Widacki.

Członkowie kierownictwa SLD skupieni wokół Grzegorza Napieralskiego walczyli z autorytetami i nietuzinkowymi postaciami na lewicy, sądząc, że po ich wyeliminowaniu sami staną się największymi autorytetami i idolami.

Grzegorz Napieralski otrzymał w Szczecinie bolesną lekcję. Bartosz Arłukowicz zebrał ponad 100 tys. głosów, lider SLD – przeszło cztery razy mniej. Sojusz w Szczecinie uzyskał 11,07% głosów – w 2007 r., gdy lokomotywami listy byli Napieralski z SLD i Arłukowicz z SdPI, LiD otrzymał w tym okręgu 17%. 9 października SLD w okręgu Napieralskiego ustąpił nie tylko Platformie i PiS, ale także Ruchowi Palikota (11,84%). W zeszłym roku w macierzystym województwie zachodniopomorskim kandydat na prezydenta Grzegorz Napieralski zdobył 17,61%.

W Sejmie nie znalazł się – mimo pierwszego miejsca w „czerwonym” Sosnowcu – skarbnik Karolczak. Przepadła także gwiazda „młodego” SLD – szef Biura Medialnego SLD Łukasz Naczas, który na portalu GoldenLine, skierowanym do pracodawców, wymienia branże, na których się zna: „Marketing/Reklama/Public Relations/Media/Sztuka/Rozrywka”. Promujący najnowsze narzędzia komunikacyjne Naczas przepadł w okręgu Konin – mimo jedynki i dużych możliwości promocyjnych uzyskał zaledwie trzeci wynik na liście. To najlepsze podsumowanie kampanii SLD – same narzędzia komunikacji nie wystarczą, trzeba jeszcze mieć coś do powiedzenia.

Patrząc na skład klubu poselskiego SLD, w którym przeważają wieloletni posłowie (choć niektórzy z nich nie są znani), robi się

szaro, smutno i ponuro.

Klub może pozostać w cieniu posłów Ruchu Palikota, którzy przynajmniej w pierwszych miesiącach skupią uwagę mediów (jako nowi i nieograni gwarantują większą oglądalność, słuchalność i poczytność). W tym czasie aktywność działaczy i posłów Sojuszu może się ogniskować na wewnętrznych walkach. Do walki zagrzewa Leszek Miller, który miesiąc przed wyborami przekazał – w obecności m.in. Aleksandra Kwaśniewskiego – Grzegorzowi Napieralskiemu pióro. To pióro, którym podpisał w Atenach traktat akcesyjny, symbolizowało protektorat, jaki Miller sprawuje nad Napieralskim. Były premier nie wyobraża sobie, że szef SLD jego piórem podpisze akt kapitulacji. Trzeciego dnia po wyborach w Radiu TOK FM oświadczył, że Napieralski stoi przed próbą: albo okaże się mężczyzną, albo płaczącym chłopcem. W tym pierwszym przypadku może liczyć nadal na wsparcie Millera, który zamierza bronić partyjnego szyldu. I w imię jego zachowania jest gotów znów stanąć na czele partii (osobiście lub przez wyznaczoną osobę). Instykt władzy umrze u Millera ostatni – wciąż powołuje się na Konrada Adenauera, który został kanclerzem RFN w wieku 73 lat. Według kalendarza Adenauera Miller ma jeszcze siedem lat, by wrócić do władzy. Za głównego wroga Miller uważa Wojciecha Olejniczaka, któremu nie zapomni „zdrady” i upokorzenia w wyborach w 2007 r. – przypominać o nim będzie dodatkowo obecność w ławach SLD rodzonego brata eurodeputowanego, Cezarego Olejniczaka. Jednak bezpośrednim rywalem, z którym zmierzy się Miller, będzie wspierany przez Kwaśniewskiego, podobnie jak Wojciech Olejniczak, Ryszard Kalisz.

www.wiadomosci.wp.pl, Krzysztof Piławski /Przegląd/, 20 października 2011 r.)

